

Katarzyna Olubińska
Krzysztof Pałys OP



Czy Bogu na pewno nic się nie wymyka?

WYDAWNICTWO WAM

© Wydawnictwo WAM, 2025
© Katarzyna Olubińska, 2025
© Krzysztof Pałys OP, 2025

Opieka redakcyjna: Kama Hawryszków
Redakcja: Marta Koziak-Podczerwińska
Korekta: Klaudia Bień, Anna Suchańska
Projekt okładki: Studio Poziomka Emilia Piechowicz
Zdjęcia na okładce: Tola Piotrowska
Skład i opracowanie graficzne: Lucyna Sterczewska

ISBN 978-83-277-4575-0

NIHIL OBSTAT

Prowincjał Polskiej Prowincji Dominikanów
Łukasz Wiśniewski OP, provincjał
Warszawa, 16 października 2025 r., reg. Prow. 716/25

WYDAWNICTWO WAM
ul. Kopernika 26 • 31-501 Kraków
tel. 12 62 93 200
e-mail: wam@wydawnictwowam.pl

DZIAŁ HANDLOWY
tel. 12 62 93 254-255
e-mail: handel@wydawnictwowam.pl

KSIĘGARNIA WYSYŁKOWA
tel. 12 62 93 260
www.wydawnictwowam.pl

Druk i oprawa: LEYKO Sp. z o.o. • Kraków

Publikację wydrukowano na papierze Ecco book 70 g vol. 2.0
dostarczonym przez Antalis Poland Sp. z o.o.

Spis treści

I Zaufanie, które rodzi się w ciszy • 7

*O słowach, które mają moc, o Bożym planie i ciszy,
której nie pokonała nawet próba chóru...*

II Bezsilność, która jest łaską • 107

*O usłyszeniu siebie, granicy jazdy windą i o tym,
jak zwolnić w rozpędzonym świecie...*

III Odpoczynek, w którym można odnaleźć Boga • 181

*O skutecznej modlitwie, cichych cudach i o tym,
co ma wspólnego włoski makaron z kontemplacją...*

IV Głos, który przynosi pokój serca • 253

*O wyjątkowej Gwieździe, która oświecła naszą drogę,
o znakach i pocieszeniu, które przychodzi niespodziewanie...*

Ostatnich kilka słów... • 271

Przypisy • 277

Matce Bożej Pocieszenia z wdzięcznością



I

Zaufanie, które rodzi się w ciszy



○ słowach, które mają moc,
o Bożym planie i ciszy, której
nie pokonała nawet próba chóru...





Jest taka piękna przypowieść, która często do mnie wraca: mówi ona o pewnej wiosce dotkniętej suszą. Ludzie modlili się tam o deszcz – w wyznaczonym dniu wszyscy mieszkańcy zebrali się razem na modlitwie, ale tylko jeden chłopiec przyszedł z parasolem. Tylko on miał wiarę, że Bóg ich wysłucha.

Od dzieci można się wiele nauczyć. Lubię obserwować moją córkę, która ma dziś trzy lata. Kocham patrzeć, jak wbiega z dziecięcą ciekawością i zaufaniem w wysokie trawy, szukając motyli i kwiatów, albo jak bez chwili zawahania skacze do basenu w moje ramiona – bo wie, że ją złapie. To jest bezgraniczne zaufanie. Bywa, że z wiekiem gdzieś to zaufanie i wiarę tracimy, gubimy; dajemy się prowadzić wyłącznie umysłowi, zapominając o głosie serca. Rodzą się w nas wtedy wątpliwości i pytania.

Od kiedy pamiętam, wszystko, co najpiękniejsze w mojej drodze z Bogiem, zaczynało się od naprawdę prostych rzeczy: od szczerej, serdecznej rozmowy z Nim i od pytań, które Mu zadawałam. Często były to pytania bardzo podstawowe, ale zadawane uporczywie – niemal jak przez dziecko, które nie rozumie, dlaczego dzieje się tak, a nie inaczej. Czemu na przykład modłę się o coś tak długo i nic się nie dzieje? Dlaczego przydarza nam się coś złego albo musimy przeżywać stratę bliskich osób, cierpieć, chorować? Dopiero z czasem zauważyłam, że Bóg zawsze odpowiada, że codziennie mówi na różne

sposoby: swoim Słowem, znakami, cichymi natchnieniami serca, które tylko ja rozumiem, lub też poprzez ludzi, których spotykam.

Ojca Krzysztofa Pałysa – dominikanina z klasztoru na warszawskim Służewie – poznałam wiele lat temu, kiedy szukałam dla siebie stałego spowiednika: kogoś, kto pokieruje mnie na mojej życiowej drodze, w moich rozterkach i rozmowach z Bogiem, i może mi odczytywać Jego głos, rozumieć Bożą logikę. Ktoś znajomy polecił mi właśnie ojca Krzysztofa. Napisałam do niego wiadomość, opisując swoją historię, a ojciec zgodził się na pierwszą spowiedź. Z tych spowiedzi zrodziły się też następujące po nich rozmowy. Te czasami nawet kilkunastominutowe spotkania w rozmównicy, w której były tylko stolik, dwa krzesła i mała zniszczona ikona Jezusa Miłosiernego, karmiły mnie i podtrzymywały na duchu przez kolejne tygodnie, miesiące i lata.

W międzyczasie dużo się w moim życiu działo: wyszłam za mąż, założyłam rodzinę, zostałam mamą, ale też straciłam ukochaną mamę i to ostatnie wydarzenie zatrzęsło moim światem i wiarą. Pamiętam zwłaszcza jedną taką rozmowę z ojcem Krzysztofem, krótko po stracie mamy, kiedy czułam, że pochłania mnie ciemność – nie miałam w sobie nadziei, nie widziałam żadnego sensu. Przychodziły mi do głowy myśli, że Bóg chyba o mnie zapomniał, że coś przeoczył; nie rozumiałam tych wydarzeń, czułam się rozczarowana Bogiem, wiarą, Kościołem. Zadawałam Mu pytanie: dlaczego to wydarzyło się nam? Dlaczego tak? Poszłam na tamtą rozmowę z ciężkim sercem, wypełnionym goryczą i smutkiem. Z perspektywy czasu widzę jednak, że była to rozmowa, która mnie ocaliła.

Ojciec często powtarzał na końcu tych spowiedzi i naszych rozmów: „Odważy, Kasiu”, i dodawał na pożegnanie: „Pan Bóg nie

stracił kontroli nad twoim życiem” albo: „Bogu nic się nie wymyka”. A kiedy znowu się zapędziłam i brałam za dużo na swoje barki, mówił: „To nie my zbawiamy ten świat”. Często powtarzałam te słowa innym osobom, które przychodziły do mnie ze swoimi historiami. Byli to znajomi, rodzina, przyjaciele, a od kiedy zaczęliśmy z mężem organizować pielgrzymki do Medjugorie – także dziesiątki poznanych podczas wspólnych wyjazdów niesamowitych osób i ich historii – często tak trudnych i zawiłych, że tylko wielka wiara pomaga odnaleźć w nich sens...

Z czasem zaczęłam też cytować fragmenty tych rozmów w krótkich wpisach na moim blogu *Bóg w wielkim mieście* i dzielić się nimi z innymi. Chyba wtedy zaczęły we mnie kielkować pierwsze myśli o książce, która byłaby taką rozmową-spotkaniem: wątpliwości z wiarą, zwątpienia – z ufnością, zmęczenia, niezrozumienia, żalu, znużenia sobą i innymi – ze słowem, które daje nową perspektywę, nadzieję i pomaga odnaleźć sens. Nieśmiało pytałam ojca o wspólną książkę, ale on tylko milczał i tajemniczo się uśmiechał. Zrozumiałam wtedy, że ten pomysł musi dojrzeć, poczekać na swój czas. „Boże, jeśli chcesz tej książki, prowadź mnie, prowadź nas. Ty jesteś Ojcem i widzisz, jak często brakuje nam sił i nadziei” – modliłam się przed obrazem z napisem „Jezu, ufam Tobie” na Służewie u dominikanów; prosiłam i oddawałam książkę i ludzi, którzy będą ją czytać, Matce Bożej w miejscu dla mnie szczególnym, w kaplicy z cudownym wizerunkiem Matki Bożej Żółkiewskiej w tym samym kościele. W końcu ojciec się zgodził i wszystkie okoliczności były sprzyjające: przyszedł ten czas, kiedy mieliśmy nagrać pierwszą rozmowę do książki. Z zapiskami w kalendarzu, dyktafonem, wydrukowanym na kartce planem z pytaniami, dwiema kawami

na wynos z pobliskiej kawiarni i rogalikami stanęłam pod furtą klasztorną – pierwszy raz chyba w tym miejscu zdenerwowana i jednocześnie szczęśliwa, niemal jak dziecko w dniu Wigilii. Był 8 marca, godzina 15.00. Symboliczna data i godzina... Przyszła chwila, na którą tak długo czekałam.

Mój rozmówca pojawił się jak zawsze punktualnie i jak zwykle przywitał mnie uśmiechem i uściskiem dłoni, zapraszając do rozmównicy. Zadowolona rozłożyłam w małym pokoiku swój kalendarz i włączyłam dyktafon w telefonie. Miałam ochotę nagrać nasze rozmowy w wersji wideo, ale wiedziałam, że nic z tego – ojciec powtarzał, że „kamera wysysa mu duszę”. Wydawał się lekko zakłopotany nawet na widok kawy: „Ojej, mogłem tutaj też zaparzyć...” – powiedział.

Pierwsza rozmowa miała być o zaufaniu, które rodzi się w ciszy. Wiedziałam, że ojciec posiada naturę raczej kontemplacyjną i żartowałam sobie, że Pan Bóg ma najwyraźniej poczucie humoru, bo człowieka, który wstąpił do klasztoru – licząc zapewne na spokojne życie w świetle Bożego Słowa, ciszy i kontemplacji – zaskoczył tam wielki świat, rozgłos, sława i tłum spragnionych Boga słuchaczy, którzy konsekwentnie podążają za nim na wszystkie kazania, rekolekcje i pielgrzymki, a mnie – osobę, która została dziennikarką z nadzieją na spotkanie wielkiego świata, życie w centrum wydarzeń i blasku fleszy, a może nawet rozgłos i sławę – dopadł z tęsknotą za Nim, pozwolił spotkać i poznać Boży pokój i Jego ciszę w zgłębku wielkiego miasta. O tym wszystkim planowaliśmy porozmawiać: o tej Bożej logice, a także o przyjęciu siebie i świata takimi, jakimi są, o ciszy, zaufaniu, Bożym planie i słowach, które mają moc. To była sobota, więc spodziewałam się, że gdzie

jak gdzie, ale w klasztorze będzie cisza jak makiem zasiał; wielokrotnie przecież gościłam w tym miejscu i doświadczałam w nim odpoczynku i spokoju. Ale Pan Bóg – o czym już wiemy – ma poczucie humoru, bo okazało się, że za ścianą pokoju, w którym siedzieliśmy, właśnie odbywała się próba chóru, więc po każdym moim misternie przygotowanym i przemyślanym pytaniu zamiast odpowiedzi ojca wchodził gromki i donośny śpiew. Nie tak to sobie wyobrażałam, kiedy przygotowywałam się do pracy i rozmowy na ważne tematy! Przez kilka minut próbowaliśmy coś nagrać, jednak ostatecznie oboje parsknęliśmy śmiechem. Było jasne, że trzeba będzie zmienić miejsce. Spakowałam do torby kalendarz, dyktafon i z kawami w rękę ruszyliśmy z zamiarem przeniesienia się do pobliskiego ogrodu. Mimo że spotkaliśmy się początkiem marca, tego dnia było dosyć ciepło. Jakie było nasze zdziwienie, kiedy okazało się, że chór wpadł na dokładnie ten sam pomysł, więc po chwili staliśmy pośrodku całego tłumu wokalistów ze śpiewnikami i kartkami w rękach. Dodatkowo okazało się, że równolegle odbywają się rekolekcje połączone z wizytą w ogrodzie dominikańskim i przyjechał – dosłownie – cały autokar ludzi. Postanowiliśmy więc poszukać ciszy w pobliskiej altance.

Kilka razy wcześniej byłam w ogrodzie dominikańskim i pamiętałam go jako miejsce tak nasycone ciszą, że słychać w nim było niemal szelest ptaka w koronach drzew. Tym razem siedzieliśmy tam, w altance przy ścieżce, w tłumie przechodniów, którzy to mijali nas, ścisząc głos na nasz widok, to znów rzucając ciekawskie spojrzenia oraz dygając w kierunku ojca, wyciągnąwszy ręce z kieszeni, szeptali z uśmiechem: „Szczęść Boże”. „Tak muszą się czuć zwierzęta w zoo” – pomyślałam i chyba nawet powiedziałam to na

głos. Ale kiedy jedna z kobiet usiadła tuż obok i zaczęła ze smakiem pałaszować banany, rozmawiając z kimś przez telefon, jakbyśmy byli niewidzialni, miarka się przebrała. Naprawdę niełatwo było w tych warunkach o skupienie i powagę. „Nie jestem pewien, czy Pan Bóg chce tej książki” – śmiał się ojciec, a wieczorem dostałam od niego taką wiadomość: „Kasiu, nawet nie potrafię nazwać dzisiejszego dnia i tej kumulacji wydarzeń, więc zabawne było w tym wszystkim mówić o ciszy. Ufam, że jest jak przy stworzeniu świata – widać zamęt i chaos, ale Duch Boży unosi się nad tym wszystkim”.

Kasia Olubińska: Zacznę może od tego, skąd wziął się pomysł na tę książkę. Wydaje się, że odpowiedź na pytanie: „Czy Bogu na pewno nie się nie wymyka?”, jest oczywista. A jednak często nie wiemy, czy jesteśmy w naszym życiu we właściwym miejscu, a dodatkowo tyle się koło nas dzieje – również trudnych wydarzeń – że ciągle to pytanie stawiamy. Mogłabym teraz zarzucić ojca przykładami, ale nie muszę tego robić, bo ojciec słyszy ich pewnie na co dzień dużo więcej od różnych osób: historie o chorobach, śmierci bliskich, zawiedzionej i zdradzonej miłości, złych wyborach życiowych, niesprawiedliwości. Dzieje się mnóstwo spraw, których nie rozumiemy.

Czy ojciec często słyszy to pytanie od ludzi: czy na pewno nasze życie ma sens, czy kieruje nim jakiś Boży plan, Boża opatrność?

KRZYSZTOF PAŁYS OP: Nie zawsze wprost, ale bardzo często. Być może to jakiś powiew Ducha Świętego, że prowadzimy tę rozmowę, gdy Ojciec Święty Franciszek ogłosił w Kościele Jubileuszowy Rok Nadziei. To odpowiedź na wojny, przeróżne kryzysy, z których może największym jest przeraźliwy brak poczucia sensu swojego życia, a nawet rozpacz.

Czy nie masz, Kasiu, takiego doświadczenia, że ilość problemów w naszym życiu jest nieograniczona? Rozwiązesz jeden, a zaraz pojawiają się kolejne dwa. A czasami bywa jeszcze trudniej. U dominikanów w klasztorze jeden z braci co

trzy lata jest wyznaczony do tego, aby zajmować się wspólną kasą. Przyszedłem niedawno do naszego ekonoma, ojca Dominika Zarychty, który ma nie tylko ofiarne serce dla braci, ale też kapitalny humor. Akurat zastałem go w momencie, gdy analizował rachunki, rozliczenia i miał dosyć zmartwioną minę. Chciałem go pocieszyć, więc powiedziałem: „Dominik, nie przejmuj się, przecież ilość problemów jest nieograniczona. Rozwiążesz jeden, pojawią się kolejne dwa”. A on spojrzał na mnie znad tych papierów i odpowiedział: „Moje doświadczenie jest inne. Nie rozwiązałem jeszcze nawet jednego problemu, a już pojawiły się kolejne dwa”.

Problemy będą pojawiały się w nieskończoność, ale kiedy człowiek podniesie głowę i spojrzy na Chrystusa, na nowo odczuje nadzieję. A jeśli kontempluje wyłącznie problemy, to może się w nich utopić.

Polski dominikanin mieszkający w Jerozolimie, ojciec Łukasz Popko, został zapytany, jak sobie radzi, mieszkając w kraju, w którym właśnie toczy się wojna. Odpowiedział, że te głosy, które słycać najgłośniejszy, wcale nie muszą być najważniejsze. Przyznał wprawdzie, że przed niektórymi nie da się uciec, jak przed granatami ogłuszającymi, które regularnie słyszy w swojej dzielnicy, ale zaraz dodał, że to nie one są najistotniejszymi dźwiękami i zdecydowanie nie mogą się takimi w jego życiu stać. Jest coś do głębi wspaniałego i mądrego w obrazie Eliasza słuchającego zgiełku świata i jednocześnie próbującego usłyszeć ten jeden cichy i najważniejszy głos.

Czasem trzeba stoczyć prawdziwą walkę, by nie utracić ufności, że Bóg naprawdę jest większy od zła. Ta walka toczy

się także o to, by nie zapomnieć o celu naszej pielgrzymki i spróbować usłyszeć ten jeden cichy i najważniejszy głos. Na szczęście nie jesteśmy sami – prowadzi nas opatrność Boża.

A czym właściwie jest opatrność? To słowo często pojawia się w różnych kontekstach – mówi się, że „opatrność nad nami czuwa”, powtarza się ten wyraz niemal odruchowo. Zastanawia mnie jednak, co on tak naprawdę oznacza...

Najprostsza odpowiedź: bezpieczeństwo. Zawsze, w każdej sekundzie mojego życia, jestem w rękach Boga. Francuski dominikanin Henryk Lacordaire zgrabnie ujął: „O jutrze masz wiedzieć jedynie to, że Opatrność Boża wstanie dla ciebie wcześniej niż słońce”. Jeśli zanika wiara w Bożą opatrność, pojawia się fatalizm.

Wiara w opatrność Bożą to ufność, że Bóg nigdy nie przestaje ogarniać twojego życia – nawet wtedy, gdy wydaje ci się, że wszystko się rozsypuje. Znakomita definicja opatrności – najbardziej zrozumiała i zapadająca w serce – to ta, którą znalazłem u Tolkiena w *Silmarillionie*, gdzie jest opis stworzenia świata¹. Stwórca, Eru Ilúvatar, zaczyna grać piękną i olśniewającą melodię, i z tej melodii powstaje wszechświat. Razem z nim powstają też istoty duchowe – dziś nazwalibyśmy je aniołami, choć u Tolkiena występują jako Valarowie. Ta melodia jest zachwycająca, harmonijna, nigdy się nie nudzi, wciąż i wciąż rozbrzmiewa, rozszerzając się w przestrzeni. Ale w pewnym momencie jedna z istot stworzonych przez Ilúvatara w swojej pysze próbuje zaśpiewać swoją własną melodię – lepszą, jak jej się wydaje. I zamiast

współdziałać w harmonii, chce nadać własny kształt rzeczywistości. Tym samym wprowadza fałsz i powstaje dysharmonia. Inne stworzenia są zdeorientowane – czują, że coś się psuje, że zaczynają zanikać piękno i ład, który panował wcześniej. Wtedy Ilúvatar się uśmiecha i zaczyna grać nową melodię: taką, która wplata ten fałsz, pochodzący z istoty przez niego stworzonej, w coś jeszcze piękniejszego. I tak może być w nieskończoność. To jest najlepszy obraz Bożej opatrności, z jakim się spotkałem. Nie tylko opieka nad światem, ale też głęboka prawda, że zło nigdy nie jest kropką. W Bożym planie stanowi co najwyżej przecinek. Nawet z ludzkich błędów, pomyłek i grzechów Bóg potrafi wyprowadzić dobro.

Fatalizm mówi: zło jest większe i nic nie mogę zrobić. Zaufanie opatrności pozwala powiedzieć: Bóg wie, co będzie, i daje mi realną wolność wyboru, bym z Nim współtworzył historię swojego życia. Fatalizm powie: cierpienie cię zniszczy i tak już przypadło ci w udziale. Nic nie możesz zrobić. Uczeń Jezusa jednak wie, że wcale nie musi być ofiarą, a to cierpienie może ofiarować, nadając mu zbawczy sens i w ten sposób współpracując z Bożą wolą. Dlatego może pozostać człowiekiem wolnym, jak choćby święty Maksymilian, Julia Rodzińska, Walter Ciszek czy Jerzy Popiełuszko, którzy będąc otoczeni bezsensownym złem, pozostali wolni od zżerającej nienawiści. Święty Tomasz wyjaśnia: ze strony oprawców śmierć Jezusa była *maleficium* (działaniem złym), ale ze strony Jezusa stanowiła *sacrificium* (dzieło uświęcające).

Krzyż przypomina nam o tym, że największe zło, które człowiek popełnił, Bóg przemienił w narzędzie zbawienia. I to jest opatrność w szerszym sensie: że Boży plan się wypełni, historia zbawienia dojdzie do końca, wszystko zostanie odnowione w Chrystusie. Ale w wymiarze osobistym opatrność przejawia się też w tym – jeśli twoje życie wydaje ci się dziś poszarpane, ciężkie, niezrozumiałe, to jednak, kiedy spojrzysz wstecz, zobaczysz więcej opatrności niż nieszczęścia. Przecież tyle rzeczy próbowało cię już złamać, a jednak przegrało. Wciąż przecież żyjesz. Czy to nie mówi czegoś o Bożej opiece?

Mówi wiele, tylko żeby to przyjąć, potrzebne jest ogromne zaufanie...

To prawda. Opatrność Boża to nadprzyrodzona ufność, że dokądkolwiek zaszliśmy, cokolwiek zrobiliśmy, to właśnie w tym znajduje się początek drogi do nieba. I choćbyśmy przegapili dziesiątki wskazówek, setki razy skreścili nie tam, gdzie było trzeba, i nawet najbardziej niepotrzebnie skomplikowali swoją podróż, to droga nadal nas wzywa. I bez względu na to, w jakim miejscu jesteśmy, Chrystus wciąż „czeka, by okazać nam swoją łaskę” (por. Iz 30,18).

Jeśli się o tym zapomni, można popaść w rozpacz i uwierzyć, że zło, które nas dotyka, jest już końcem. Tymczasem to wciąż tylko przecinek. Zły duch próbuje zamienić przecinki na kropki: chce, byśmy myśleli, że po upadku nic już nie da się zrobić. Jezus pokazuje, że to jest kłamstwo. Ostatnie słowo zawsze należy do Boga.

Amerykański dominikanin nazywany przez braci Buzz pod koniec życia, nie czując się najlepiej, udał się do lekarza, a lekarz po zbadaniu go powiedział: „Obawiam się, ojcze, że najlepszą rzeczą, jaką mógłbyś teraz zrobić, byłoby całkowite zaprzestanie picia alkoholu”. Na co ojciec Buzz odparł: „Doktorze, nie zasługuję na najlepsze rozwiązanie, jakie jest drugie?”. Wiesz, Kasiu, jakie jest drugie? Całkowite zaufanie Bożej opatrności. W każdym miejscu naszego życia możemy podjąć decyzję o wypełnieniu woli bożej, a wolą Bożą – jak pisze święty Paweł – jest nasze usłyszenie (por. 1 Tes 4,3).

W 1936 roku, kiedy ludziom żyło się znacznie trudniej niż dziś, młoda dziewczyna Faustyna Kowalska zapisała: „Kiedy przyjechałam do Warszawy, weszłam na chwilę do małej kapliczki, aby podziękować Panu za szczęśliwą podróż i prosiłam Pana o pomoc i łaskę we wszystkim, co mnie tu czeka, poddaję się we wszystkim Jego świętej woli. I usłyszałam te słowa: »Nie lękaj się niczego, wszystkie utrudnienia posłużą na to, aby się urzeczywistniła wola«”². Mistrz Eckhart by dodał: „Powinniśmy chcieć tego, czego chce dla nas Bóg”³. Dlatego starożytni ojcowie, jak choćby święty Jan Kasjan, podkreślali, że pierwszym warunkiem modlitwy, a więc i spotkania z Bogiem, jest wolność od wyobrażeń. Wolność od układania Bogu scenariuszy – jak powinien mnie prowadzić, w jakiej rodzinie miałem się urodzić, jaki charakter czy historię życia posiadać. To również wolność od własnych wyobrażeń co do tego, jaką drogą Bóg powinien poprowadzić mnie ku zbawieniu.

Ojciec Jacek Woroniecki, któremu dominikanie w Polsce zawdzięczają klasztor na warszawskim Służewie, będąc doświadczony chorobą, przez którą cierpiał zarówno psychicznie, jak i fizycznie, któregoś dnia na małej, białej karteczce napisał krótką modlitwę, którą siostry dominikanki z Zielonki przechowują do dziś: „Boże, nie chcę się już Twojej woli opierać. Uczyń ze mną, co zechcesz”. I przyszedł pokój. Dziś Jacek Woroniecki jest sługą Bożym i kandydatem na ołtarze.

A jak odnaleźć w sobie wiarę w Bożą opatrzność?

Święty Paweł pisze: „Bóg z tymi, którzy Go miłują, współdziała we wszystkim dla ich dobra” (Rz 8,28) – to znaczy, że jeśli człowiek trzyma się Boga, to On nawet z największego zła potrafi wydobyć zbawczy sens. Święty Franciszek Salezy zastanawiał się, jak wyglądała sytuacja Maryi i Józefa, kiedy Maryi groziły oskarżenia o cudzołóstwo, a Józef nie wiedział, co robić. I pisze: „Zaraz przyszło mi na myśl, że przecież Najświętsza Panna w tej rozterce nie wyrzekła ani słowa, nie tłumaczyła się ani nie zamartwiała, dopóki sama Opatrzność Boża Jej nie wybawiła”⁴.

Kiedy w 1996 roku islamscy ekstremiści zamordowali dominikańskiego biskupa błogosławionego Piotra Claverie, w pobliżu męczeństwa młoda Algierka imieniem Yasmina zostawiła kartkę. Napisała na niej: „Dziś wieczorem, Ojcze, nie mam słów. Ale mam łzy i nadzieję”.

W konfrontacji ze złem Bóg nie jest bezradny, ale znajduje sposób, żeby złu zaradzić. Wiara w to, że tak jest, bywa niekiedy heroiczna. Ona daje jednak nadzieję i mówi coś

ważnego nie tylko o naszym życiu, ale przede wszystkim o Bogu: że zło nie pochodzi od Niego, Bożego planu nie da się zniszczyć i ostatecznie to dobro zwycięży. Być może to najprostsze wyjaśnienie Bożej opatrności. Każdy człowiek to przeczuwa i tęskni za prawdą o ostatecznym zwycięstwie dobra. Mamy to w sobie głęboko wpisane. Pan raz na zawsze zniszczy śmierć i otrze łzy z każdego oblicza, bo tak przyrzekł... (por. Iz 25,8).

Raz jeszcze przytoczę ojca Jacka Woronieckiego. Odpowiadając w 1929 roku na list Janinie Wielowieyskiej, która skarżyła się na trudne czasy i na to, jak jest jej ciężko, napisał: „Owszem, wolno czasem jęknąć pod ręką Bożą, ale na dnie duszy trzeba mieć zawsze ogromną ufność w Opatrność Bożą i pamiętać, że miłującym Boga, wszystko obraca się ku dobremu”⁵.

Jakiś czas temu trafiłam z moją małą córeczką na oddział do szpitala z powodu zapalenia płuc i grypy. Przeżyliśmy nocną podróż karetką, lęk, niepewności, olbrzymi stres. Następnego dnia zaczęły przychodzić do mnie liczne SMS-y, telefon się urywał, bo dużo osób chciało nam pomóc. W pierwszym odruchu zaczęłam odpisywać i jeszcze raz odtwarzać, co się wydarzyło. W pewnym momencie zauważyłam jednak, że przez te słowa jestem jeszcze bardziej zdenerwowana. Odłożyłam więc telefon i – tak, jak umiałam – postarałam się wyciszyć i zaczęłam się modlić. Dopiero wtedy się uspokoiłam i nabrałam sił do towarzyszenia córce.

Wiele mówi się o tym, że słowa mają moc. Czy tak faktycznie jest?

Wszystko zależy od tego, kto te słowa wypowiada. Jeżeli ja wyszedłbym teraz przed kościół i powiedział do napotkanego człowieka: „Jesteś aresztowany”, to te słowa nie będą mieć żadnego znaczenia, bo nie posiadam takiej władzy. Jeżeli jednak padłyby one ze strony policjanta, z pełną mocą jego uprawnień, to rzeczywiście miałyby moc zmienić rzeczywistość.

Słowo Boga stworzyło ten świat, więc ono daje życie. Czasem po usłyszeniu jakichś słów wychodzisz przygnębiona, z poczuciem, że nadzieja została z ciebie wyssana, a po innych, takich, w których jest obecny Duch Święty, odwrotnie – nadzieja zostaje w tobie umocniona, coś cię podnosi. Tak właśnie działa Duch Święty: ugruntowuje nadzieję, ale i przychodzi z darem mądrości.

Dwa lata temu poznałem zawodowego zapaśnika, który w latach 90. dorabiał jako ochroniarz w prestiżowych warszawskich klubach. Opowiadał, że poznał tam gangsterów, których pseudonimy znane są dzisiaj na całą Polskę. Bardzo go tam ceniono i otrzymał propozycję stałej pracy. Szybkie i duże pieniądze, poczucie władzy. Kilku jego kolegów na to poszło, on jednak odmówił, chociaż nie była to dla niego łatwa decyzja, bo miało mu się urodzić kolejne dziecko i potrzebował większego mieszkania. Taka praca dostarcza naprawdę wielu pokus. Na początku jest poczucie, że jesteś królem świata – ludzie się ciebie boją, a wydaje ci się, że cię szanują – wchodzisz do lokalu, zwalniają dla ciebie stoliki. Nikt jednak

nie wyszedł na tym dobrze. Jego koledzy, którzy w tamtym czasie zaczęli pracować dla tych bandytów, ludzi wydających się wówczas nietykalnymi, ostatecznie przegrali życie. Dziś wielu z nich ma rozbite rodziny, finansowe długi, inni odsiadują nawet wyroki w więzieniach, a część nie żyje. Tak właśnie działa zło, kusi pozorami dobra, obietnicą szybkiego sukcesu, ale na końcu zostawia cię w samotności. Współpraca ze złem nie dokonuje się nagle, ale każdego dnia delikatnie przesuwasz tę wewnętrzną granicę o centymetr i nie widzisz tych zmian. Kiedy jednak po kilku latach spoglądasz w lustro, nie jesteś w stanie rozpoznać twarzy, na którą patrzysz.

Smutne to.

To prawda. A przecież wszyscy na chrzcie otrzymaliśmy tajemniczy płomień wiary, który się w nas tli. Mamy w sobie iskrę Bożego światła, będącą najcenniejszym skarbem. Jeśli podejmujesz decyzje, które nie odbierają ci Boga, światło się rozpala, natomiast jeśli kolaborujesz ze złem, wypełniasz się ciemnością. Tylko że tego nie widzi się od razu, dlatego święty Benedykt w czwartym rozdziale reguły pisze: „Nie schodź z drogi miłości”⁶. Znam osoby, które prowadzą proste, czasem niezwykle skromne życie, niosą w cichości różnego rodzaju krzyże, ale jest w nich jakiś wewnętrzny pokój, poczucie sensu. Tajemnicza siła wewnętrzna. Jakby byli od wewnątrz rozświetleni. Spotkania z nimi zawsze są przyjemnością.

Bóg nie przestaje szukać człowieka – ma swoje sposoby, by o sobie przypominać. Posługuje się wydarzeniami, spotkaniami, a czasem jednym prostym słowem.

Może ojciec powiedzieć coś więcej, w jaki sposób to działa?

Benedykt XVI zauważył, że rozdarcie zasłony w świątyni oznacza coś niezwykle ważnego – od tej chwili każdy z nas ma swobodny dostęp do Boga⁷. Nie ma już barier ani oddzielających nas murów: dzięki Chrystusowi droga została otwarta. Przed wcieleniem oblicze Boga było zasłonięte, oddzielone od nas tajemnicą. Od chwili, gdy Syn Boży przyjął nasze człowieczeństwo, możemy Boga poznawać, patrząc na Jezusa. I możemy do Niego mówić „Ojcze”, bo w Chrystusie mamy nie tylko Zbawiciela, ale i Brata. Dzięki modlitwie możemy nawiązać z Nim więź, oglądać rzeczywistość od Bożej strony.

Modlitwa to harmonizowanie swojego myślenia z myśleniem Boga. Jest ona głęboko związana z doświadczeniem ciszy. Możesz mieć obniżony nastrój, możesz niewiele czuć, ale gdzieś głęboko, w przestrzeni nietkniętej przez słowa, coś pulsuje. I ty wiesz, że nie jesteś sama. Moje doświadczenie jest takie, że kiedy przychodzę przed Najświętszy Sakrament i powierzam Chrystusowi swoje zmartwienia, to dzieje się jedna z dwóch rzeczy: albo On w zaskakujący sposób sam to rozwiązuje, albo daje mi dar zrozumienia. Objawia, że w tym krzyżu jest zbawczy sens. „W tym chlebie płonie ogień”⁸ – pisze święty Efreem. Wpatrując się w ten nieziemski blask, możemy doznać oczyszczenia. Dzięki modlitwie łatwiej jest odróżnić to, co ważne i nieważne. Nawet Słowo Boże zupełnie inaczej smakuje, kiedy zaczniemy dostrzegać Bożą opiekę i ujrzymy, że w tym krzyżu jest życie. Dzieje się także coś dziwnego, odkrywamy, że Bóg

wypełnia nasze pragnienia, ale... jednocześnie zmieniają się same pragnienia. Po prostu inne rzeczy zaczynają cieszyć. Kiedy pojawiły się we mnie pragnienia życia zakonnego, powiedziałem Bogu: „Jeśli te pragnienia są od Ciebie, to oddaję je Tobie, a jeśli nie – zabierz je. Niech się dzieje Twoja wola”. Wówczas jeszcze wydawało mi się, że na modlitwie zawsze trzeba mówić albo coś pobożnego odmawiać. Nie znałem tradycji świętych, nie miałem pojęcia, czym jest modlitwa umysłu, czym adoracja, różaniec. Chodziłem jedynie na Mszę świętą, przyjmowałem komunię i tylko tak prosto się modliłem: „Panie Jezu, niech się Twoja wola wypełnia we mnie”. Po dwóch latach pojawiła się coraz większa tęsknota za ciszą, a ja czułem się szczęśliwy w cichym kościele, a gdy widziałem światelko przy tabernakulum, czułem się, jakbym był u siebie w domu. A kiedy po kryjomu czytałem książki o życiu zakonnym, miałem w sercu radość, która zostawała we mnie także po skończeniu lektury.

A moc błogosławieństwa i dobrych słów? Pewien ksiądz powiedział mi ostatnio, że zupełnie tego nie doceniamy – na przykład gestu robienia przez mamę znaku krzyża na czołach swoich dzieci. Jakie to ma znaczenie?

Kiedy wyjeżdżałem na studia czy później do pracy, moja mama zawsze robiła mi krzyżyk na czole. Wtedy się obruszałem, krzywiłem – dorosły facet, a tutaj mama stawia krzyżyki na czole jak małemu dziecku. Jest to jednak przenikliwa intuicja, jasny komunikat: „Oddaję cię w opiekę Komuś, kto będzie cię wspierał nawet wtedy, gdy mnie zabraknie”.

Potem, gdy mama zmarła i żył już tylko tata, kiedy przyjeżdżałem do domu rodzinnego, to już on przed wyjazdem stawiał mi krzyżyk na czole. Przestałem się krzywić. Ten krzyżyk wyraża głęboką prawdę, która wydarzyła się podczas chrztu: „Nie należysz do mnie, należysz do Jezusa. Jesteś w najlepszych rękach”.

Święty Ambroży z Mediolanu mówił do nowo ochrzczonych: „Stałeś się rybą”⁹. Ryba może oddychać, kiedy jest w wodzie, a kiedy się z niej wynurza – odchodzi od życia. Wodą jest Chrystus, w którego śmierć i zmartwychwstanie zostaliśmy zanurzeni we chrzcie, poza Nim nie ma już dla nas życia. Bez Jezusa wszyscy jesteśmy mrokiem, On jest światłem, On nas prowadzi, On oświeca.

Błogosławieństwo przeprowadza przez lęk. A kiedy odczuwamy lęk? Kiedy stajemy wobec czegoś, czego nie znamy, kiedy ktoś nam może zrobić krzywdę, ale również kiedy liczymy tylko na siebie i na swoje siły. Boimy się, że możemy nie znieść bólu, jaki zostanie nam zadany. Boimy się, że możemy nie okazać się bohaterami w ważnych chwilach. Jeśli ktoś się boi, to może także dlatego, że ufa wyłącznie sobie. Można się oczywiście bać, to naturalne, ale ten lęk już nie ma nad tobą władzy. Bo wiesz, że nie jesteś sam, ale jest przy tobie Bóg. To podpowiada wiara.

Lęk jest wówczas, kiedy człowiek opiera się na sobie, a męstwo przychodzi wtedy, kiedy opiera się na Bogu. Historia świętego Piotra za każdym razem przypomina mi, że trzeba porzucić zuchwałą pewność, mówiącą, że mogą opierać się tylko na sobie. Kiedy Piotr był przekonany, że nie

zdradzi nigdy Jezusa – przewrócił się za jednym zamachem i to trzykrotnie. Parafrazując Faustynę Kowalską: „Tyle już razy zawiodłam się na sobie, więc mam odwagę mówić: nie ufam sobie, ale – Jezu – Tobie”. Narzekanie i czarnowidztwo w niczym nie pomagają.

Często powtarza ojciec, że narzekanie jest modlitwą demonów.

To słowa błogosławionego Henryka Suza, dominikanina, jednego z mistyków nadreńskich. Zresztą inna bliska mi święta, Bernadeta Soubirous, mówiła podobnie: „Jeżeli Bóg na coś zezwala, nie wolno narzekać”. Tolkien nazwał ją „dziecko łaski, tak bliskie memu sercu”¹⁰.

Pytam o to, bo myślę, że często narzekamy. Zauważyłam nawet, że w niektórych środowiskach jest to w dobrym tonie: lubimy sobie pomarudzić.

Człowiek może wybrać swój sposób życia. Albo to będzie życie „według wdzięczności”, albo „według pretensjonalności”. Ktoś, kto żyje według wdzięczności, jest w swoim wnętrzu jasny i promieniuje jasnością.

Mój współbrat z Krakowa, o. Cyprian Klahs, człowiek małowówny, ale o przenikliwym umyśle, zapytany o narzekanie stwierdził: „Narzekanie prowadzi do zniechęcenia, a zniechęcenie jest najsukuteczniejszą bronią diabła. Poza tym, czym innym jest trzeźwe, krytyczne ocenianie sytuacji albo jakiegoś zachowania czy postawy, a czym innym jest takie narzekanie, jak to opisane w psalmie: «Rano, wieczorem